

Kultura

Paweł Głowacki

W imię byle czego

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Gdy w kasie Dworca Centralnego prosisz o drugą klasę konieczną dla palących, czujesz, że znowu zrobiłeś z siebie durnia. Odchodzisz, krokiem człowieka z góry przegrzanego schodzisz na peron, pociąg już stoi, jest prawidłowy wagon, jest właściwy przedział, miejsce tuż przy gustownej popielniczce, zasiadasz, dyskretnym gestem sprawdzasz po kieszeniach rozmieszczenie paczki i zapalniczki, jest paczka, jest zapalniczka, na razie wszystko w porządku, pozornie wszystko się zgadza. Jest dobrze.

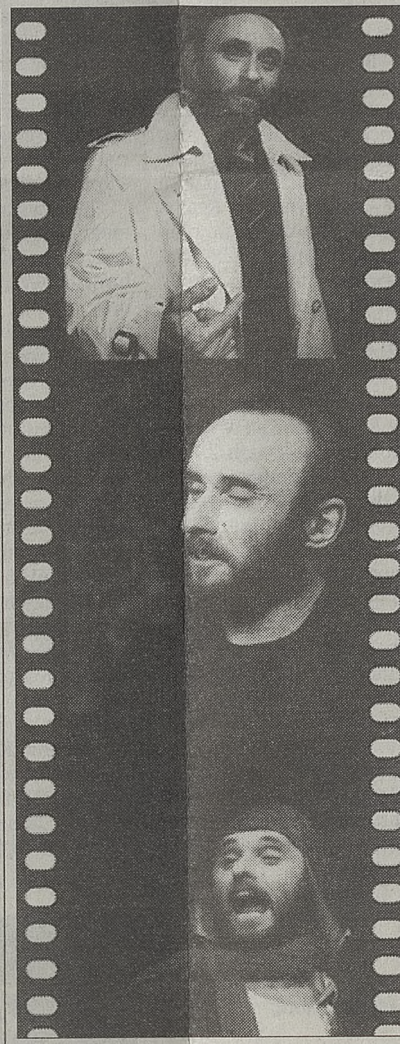
Oszukujesz się. Przecież wiesz, że się oszukujesz, że zaraz podniesiesz spłoszony wzrok i ujrzysz to, co zawsze widzisz w przedziałach drugiej klasy koniecznej dla palących, wiesz to wszystko, więc po co się oszukujesz? Naprzeciwnie, oko w oko, nos w nos siedzi ona, siedzi i węszy. Przyszła pół godziny przed tobą, żeby się solidnie przygotować do fundamentalnego starcia z ciemnym widmem nikotyny. Matka Polka Niepalących, Ordon Świeżego Chuchu Narodowego, Madonna – jakby to ujęli bohaterowie twego ulubionego serialu „Allo!Allo!” – Madonna z wielkim, nieskalanym smołą cycem, siedzi potężnie i sinym okiem rekina bezlitośnie analizuje aktualny stan twojej cery. Nie jest dobrze. Wie już, że palisz i ma pewność, że tutaj w życiu nie zapalisz, aż do Krakowa. Znowu przegrałeś, nie zdobędziesz się, nie masz najmniejszych szans, bo pociąg właśnie rusza, a Madonna – niczym Antoni Czechow – prawić zaczyna o szkodziwości palenia tytoniu. Gdzieś koło

Kielc pada fraza, która cię do reszty przekonuje. *Wicie państwo, ja sobie tak myślę, że palących to właściwie należałoby zabić.* Wychodzisz na korytarz, papieros, zapalniczka, żyć się chce. Wolisz, żeby cię ewentualny rak nadszarpnął, niż żeby cię pożarł rekina z wielkim cycem. Wszystko pięknie i ładnie, masz rację, ale co niby z tego, skoro i tak przegrałeś do zera? Nie zapaliłeś, tam gdzie wolno ci było zapalić, boś moralnie za wąty jak na powszechną zapiekłość ekologicznego fundamentalizmu.

Całe to kolejne pociągowe fiasko przypomina ci się – i słusznie – na premierze spektaklu „Sex, prochy, rock & roll” Erica Bogosiana. Prawidłowo ci się przypomina, bo też Bogosian najwyraźniej nie ma złudzeń. Z końcem stulecia jest już świata raczej coraz mniej, bo już raczej coraz mniej jest środka świata, najprzeróżniejszej maści codzienne fundamentalizmy rozciągają dzień codzienny do granic możliwości. U Bogosiana kłoszard nie jest zwykłym kłoszardem, on jest kłoszardem obarczonym fundamentalną misją, jest kłoszardem – prorokiem, któremu nie wystarczy twoje parę drobnych do kapelusza, jemu ty jesteś niezbędny, gdyż on cię przestrzec musi, byś tyle nie szczał, byś nie srał bez opamiętania, bo jak tak wszyscy będą dalej masowo pipi i kuku skutecznie, to kula ziemską gotowa się zawalić do imętu. Amator grillowania zaprasza cię do swego ogrodu nie na krwiste steki, lecz by ci udowodnić, że grill, krwisty stek, ogród, basen, dzieci i żona to jedyne, co może ci uratować

życie. Kaznodzieja celuje do ciebie z pistoletu i kadzi retoryką ściśle faszystowską, że musisz kochać Boga. Jakiś barowy Casanova wbija cię w kompleks niebywałymi narracjami o jakości swych niezliczonych i niekończących się erekcji. Ślina człowieka, któremu się udało, oblepia cię szczerlnie i na amen. Miłośnik gmerania nożem w ludzkich wnętrznościach nie pozostawia ci wyjścia – musisz stanąć po stronie fachowego gmerania, jako jedynej sensownej formie ludzkiej aktywności. Dość już jednak, wystarczy, już jesteś w domu. Zapiętki nasz fundamentalizm codzienny kwitnie na każdym kroku. Prawie wszyscy popadają w jakieś własne oszalałe skrajności postaw, łapia cię za uszy, ciągną niepoczytelnym patosem słów i zdań na swoją stronę. Faszyzm ekologiczny, stalinizm kynologiczny, muzułmańska szarża miłośników kotlecików z soi, sine oko rekina z wielkim cycem w przedziale drugiej klasy koniecznej dla palących, nieskazitelnie spokojne ręce moralnych twardzieli, którzy piją wyłącznie mineralną, a i to nie do końca. Porażka w pociągu ci się znowu przypomina, później przypomina ci się „Pochwała niekonsekwencji” Leszka Kołakowskiego i ogarnia cię czarna zgroza. Świat traci ludzki środek, bo ludzie popadli w szalę pospolitego ruszenia katastrofalnej konsekwencji wszystkiego. Nikt nie chce odpuszczać. Nikt nie chce chodzić środkiem.

Zgroza, słusznie myślisz, że to zgroza, i masz rację twierdząc, że Tomasz Obara, jak mało kto w dzisiejszym



szym teatrze, trafił tym swoim Bogosianem w czas. Przede wszystkim – trafił w strach. W tym wielkim monodramie zagrał wszystkie sześć oszalałych osobistości, od kłoszarda – proroka, do namolnego bubka, który proponuje, byśmy się wszyscy – w imię ludzkości – kochali i z dziobków sobie jedli, zagrał sześć człowieczych nieszczęść, do dna zduszonych własnymi chorymi obsesjami, zagrał i pokazał, że w każdym codziennym fundamentalizmie, w każdej chwilowej zapiękości czai się to samo. Pistolet, nóż, jakiś profil śmierci. W nieomylnie czystym geście Obary, w jego śliskim uśmieszku, w sinych oczach miniaturowego rekina, w tym skrzeczącym głosiku Ryszarda III, jest coś z desperacji kurdupla, który zaraz cię zabije. W imię byle czego.

Nie przesadzaj więc, nie cuduj, bo i tak cię właściwie nie ma. Po monodramie Obary nie popadaj w nazbyt wybujały heroizm. Oto wsiadasz do taksówki, całej wewnątrz oblepionej napisami *no smoking*, zajądający się surową marchwią kierowca pyta: *do kąd*, a ty mu bez sensu, za to całkowicie w stylu Bogosiana, ripostujesz: *do dupy, panie, do dupy...* Jakbyś nie wiedział, że w ojczyźnie fundamentalnych karłów zwyczajny człowiek środka albo milczy, albo wraca do domu piechotą. Bądź zatem mądry. I pisz wiersze.

Teatr Ludowy. Scena Pod Ratuszem. Eric Bogosian „Sex, prochy, rock & roll”. Reżyseria, opracowanie muzyczne i wykonanie Tomasz Obara.

Udana premiera w Teatrze Ludowym Światła wielkiego miasta

W amerykańskich filmach często powtarza się takie ujęcie: kamera powoli przejeżdża przez pogrążone w mroku miasto, kontemplując niekończące się światła mieszkań. Za chwilę operator płynnie przechodzi na ruchliwą mimo późnej pory ulicę, by pokazać przemierzających się ludzi. Kamera wylawia z tłumu poszczególne sylwetki. Widzimy opuszczających bar, elegancko ubranych mężczyzn, jak można się domyśleć typowych przedstawicieli yuppies, którzy po pracy wpadli tu na drinka. W następnym momencie realizatorzy dla kontrastu pokazują nam leżącego na ulicy narkomana, któremu nie chce się już nawet zebrać. Nasz uśmiech może wywołać potykający się o niego współczesny amant w skórzanym kurtce i dużych okularach, rozglądający się za jakimś damskim „towarem do ustrzelenia”.

Tych samych mężczyzn, wyciągniętych wprost z amerykańskiego filmu, można spo-

odważnie przedstawiając współczesnych nam, męskich bohaterów.

dnim wieku na delegacji, który wziął sobie do pokoju małoletnią dziewczynę. Świetnie skonstruowane zostało tu jego pijackie gadanie o tym jak bardzo zależy mu, by skończyła ona szkołę, z żądaniem opłaconej już wcześniej usługi. Reżyser nie ma oporów przed pokazaniem tej sceny, ale robi to w inteligentny sposób, metodą filmową wyciągając ciemności jedynie twarz bohatera, na której malują się doznawane właśnie zmysłowe przyjemności. Sprawa to dużo większe wrażenie



Fot. Jadwiga RUBIS

Tomasz Obara — reżyser i aktor w jednej osobie

tkać też na naszych ulicach. Ostatnio odwiedzili scenę „Pod Ratuszem”, za sprawą Tomasza Obary, który wyreżyserował tekst Erica Bogosiana „Sex, prochy i rock & roll”. Jego autor jest aktorem znanym choćby z filmu Woody Allena „Przejrzeć Harrego”, a także muzykiem punk-rockowym, będącym liderem grupy „Ricki Paul Show” oraz współtwórcą, wraz z Frankiem Zappą, płyty „Blood on the Canvas”.

Rockowe korzenie pisarza sugestywnie dają znać o sobie w „Sexie, prochach i rock & rollu”. W sposób nieraz bardzo dosadny przedstawia on brutalność opanowanego przez hipokrytów świata, nie wystrzegając się przy tym wulgaryzmów. Grający w monodramie Tomasz Obara (reżyser i aktor w jednej osobie) wszedł do końca w ten okrutny, pozbawiony jakiegokolwiek zahamowań świat, bardzo

Niezwykle sprawny aktor nie obawia się, aż do granic obrzydliwości, pokazać włóczęgę o zapędach ekologicznych, który sprawia wrażenie równie brudnego jak opisywane przez niego rzeki i oceany. Za chwilę Obara z małpią łatwością przeobrazi się w zadowolonego z siebie przedstawiciela klasy średniej, który przedkłada nad wszystkie przyjemności smażenie steków na grillu, wyliczając dokładnie, co ile go kosztuje. Spojrzenie jakiego przy tym rzuca na wyimaginowanego przyjaciela warte jest miny zdychającej mowy, której żałował bezdomny.

Aktor bez problemu wchodzi w rolę telewizyjnego kaznodziei, który z szatańskim uśmiechem każe wiernym strzelać do wszystkich czarnych, żydów i lekarzy dokonujących aborcji. Już za moment pozbędzie się demonicznego garnituru, by pokazać podchmielonego mężczyznę w śre-

niż realistycznie pokazana scena stosunku homoseksualnego w „Pterodaktylach” — poprzedniej premierze Teatru Ludowego. Ale właśnie cały sukces Tomasza Obary polega na tym, że balansując na cienkiej linii dobrego smaku, nigdy jej nie przekracza, mimo wielu wulgarności i obrzydliwości, których w spektaklu nie brakuje.

Wychodząc z przedstawienia na skąpany w nocy Rynek, pod słynnym „Zwisem” zobaczyłam zaczepiającego przechodniów Świrusa. Wśród jego ofiar był mężczyzna w markowym garniturze, z „komórką” przy uchu. Na rogu Sławkowskiej i Rynku kiwał się na klęczkach narkoman. Teatr wyszedł na ulicę.

Magda HUZARSKA-SZUMIEC
Eric Bogosian „Sex, prochy i rock & roll”

Reżyseria i opracowanie muzyczne: Tomasz Obara
Premiera: kwiecień 1998



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

26

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 813 42 34 tel./fax 813 44 95

TEATR

03-902 WARSZAWA
ul. Jakubowska 14

Nr 7/9 07-09-99 z dn.

TEATR

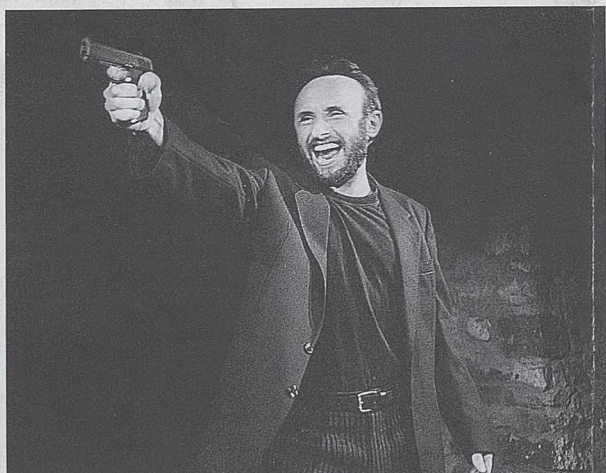
NOTY

Teatr Ludowy w Krakowie: **SEX, PROCHY, ROCK & ROLL** Erika Bogosiana. Przekład: Sławomir Chwastowski. Reżyseria, opracowanie muzyczne i wykonanie: Tomasz Obara. Premiera 10 IV 1999.

Zdawać by się mogło, że trudno będzie tym tekstem urzec widza, który ma w pamięci brawurowy monodram Bronisława Wrocławskiego. Ale Tomasz Obara „kupiwe” publiczność od pierwszych scen. Najpierw doprowadza ją do śmiechu; wyraziście, chociaż delikatną kreśką, rysuje prawdziwe w swej karykaturalności postaci (szczególnie zabawny jest nowobogacki przy grillu). A potem niepostrzeżenie zmusza do zadumy. Nie tyle – jak to było u Wrocławskiego – nad bogosianowym przerażeniem ciemną stroną życia we współczesnym świecie, co raczej – nad wewnętrznymi konfliktami, które rozgrywają się w duszach jego bohaterów. Zresztą Obara wybrał do swego przedstawienia inne niż Wrocławski fragmenty z Bogosiana. Gra na przykład hotelowy monolog-rozmowę sfrustrowanego biznesmena w delegacji z prostytutką. To jedna z lepszych sekwencji spektaklu. Bez zbędnych ruchów i min, oszczędnie maluje portret pijanego mężczyzny, bardzo wiarygodnego w swoim życiowym zagubieniu – nieszczęśliwego w małżeństwie, pełnego obrzydzenia dla rutyny swej pracy, niespełnionego i (paradoksalnie) trzeźwo sobie to wszystko uświadamiającego. Ta postać jest groteskowa, musimy się z niej śmiać, ale to gorzki śmiech.

NATALIA ADASZYŃSKA

FOT. ŁUKASZ WOŹNIAK



Tomasz Obara



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

26

04 028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 813 42 34 tel./fax 813 44 95

GAZETA KRAKOWSKA
Al. Pokoju 3
31-548 KRAKÓW

Nr 289 11/12 12 99 z Ust.

Muzy w gminie

W Nowym Sączu jesienniało teatralnie

W jesieni w Małopolsce zdarzyły się dwie ważne imprezy teatralne — Festiwal Komedii „Talia’99” w Tarnowie i III Jesienny Festiwal Teatralny w Nowym Sączu. „Talii” nie oglądałem, może i do brze, bo to festiwal z odchyleniem odrobinę konfesyjnym. Natomiast w Nowym Sączu widziałem wszystkie dwadzieścia pięć przedstawień w ciągu czternastu dni, razem z ośmiotysięczną widownią. Po fakcie mogę powiedzieć jedno: to jest pomysł na reformę teatru w Polsce. Tę opinię potwierdzili m. in. Krzysztof Chamiec, Anna Seniuk, Krystyna Janda, Katarzyna Figura, Mikołaj Grabowski, Włodzimierz Jasiński czy Jan Englert, którzy na konferencjach prasowych po swoich przedstawieniach mówili wprost: jeśli teatr chce przetrwać — musi wędrować, przychodzić do widza, zaprzeczać idiotycznej zasadzie, że prowincja jest kategorią geograficzną; trzeba być tam, gdzie nas naprawdę chcą, czekają na nas i potrafią nasz teatr świetnie zrozumieć.

Festiwal nowosądecki praktycznie jest przeglądem najlepszych propozycji kameralnych, jakie teatr polski ma do zaoferowania. Nie ma tu jurorów, nagród, jakichkolwiek prób gradacji, a jedynie wypełniona po brzegi (co wiecór!) sala teatralna Domu Kultury Kolarza i wolna dla gości scena. Piękna idea tego Festiwalu zakłada bowiem, że chodzi tu przede wszystkim o widza, o sądeckiego miłośnika teatru. Aktor gra, ponieważ dostaje za to pieniądze (na nowosądecki Festiwal złożyło się ok. pięćdziesięciu sponsorów), wie, że występuje w naprawdę doborowym towarzystwie, ale nie bierze udziału w festiwalowych wyścigach. Ostatecznie wystawią mu ocenę i przyznają jakieś miejsce — widzowie. (Osobiście nie odważyłbym się przyjąć na siebie odpowiedzialności jurora na tym Festiwalu, bo repertuar ustawił Janusz Michalik po mistrzowsku — wybrał przedstawienia bardzo zróżnicowane gatunkowo i obsadowo, a także wziął pod uwagę wiek widza; były propozycje dla dorosłych, lecz sporo spektakli dla dzieci i młodzieży.

Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że naprawdę nie było na tym Festiwalu przedstawienia miernego. Natomiast gdybym był jurorem i musiał przyznać np. trzy pierwsze nagrody, to... proszę bardzo: Anna Seniuk i Zofia Saretok w „Pierwszej młodości” — pierwsza nagroda, druga dla Teatru „Montownia” z Warszawy za znakomity pastisz Szekspira „Śpiew nowy letniej” i trzecia dla Tomasza Obary z Teatru Ludowego za monodram „Seks, prochy, rock and roll” Bogosiana. Są to moje subiektywne typy, a przecież mam świadomość, że bardzo dobre przedstawienia przywieźli do Nowego Sącza: Jan Englert („Święty Mikołaj”), Teatr im. W. Siemaszkowej z Rzeszowa („Mazepa” Słowackiego ze znakomitą rolą Krzysztofa Chamca jako Wojewody), Grupa Rafała Kmity, Teatr „Komez” z Katowic, Katarzyna Figura z Grzegorzem Matysikiem („Eksperyment”), Teatr Maski i Aktora „Groteska” z Krakowa („Podróże Pinokia” w adaptacji i reżyserii Włodzimierza Jasińskiego, rodzina Peszków („Bula, bula”), Jerzy Zelnik z pięknym montażem utworów Mickiewicza, Krzysztof Kolberger i Anna Romanowska („Apetyt na czereśnie” Osieckiej) czy rodzina Grabowskich z po bożemu

zrobioną sztuką „Kto się boi Wirginii Woolf?”).

Myślę, że ten zestaw nazwisk najlepiej świadczy o wydarzeniu artystycznym, jakie sobie zafundował Nowy Sącz. W tym kontekście rodzi się pytanie: czy Sączowi potrzebny jest teatr profesjonalny jako znak spełnionych ambicji? Absolutnie nie! Nowy Sącz ma teatry amatorskie, o tradycji XIX-wiecznej, ma znakomitą publiczność, która powinna oglądać najlepsze przedstawienia, a nie premiery marnego teatru, jakich w Polsce pełno — od Legnicy po Słupsk i od Elbląga po Tarnów.

Moje najważniejsze odczucie po III Jesiennym Festiwalu Teatralnym dotyczy transformacji, jaką teatr polski przechodzi. Po pierwsze: jeśli mówić o kryzysie polskiego teatru, to jedynie w odniesieniu do teatru jako instytucji. Tej z zespołem aktorskim, zespołem technicznym, pracownikami, budynkiem będącym własnością tegoż teatru — czyli potężnej i piekielnie drogoiej zabawki. Wyraźnie dystansuje ten rodzaj teatru teatr zespołowy, gdzie aktor jest również menadżerem, organizatorem widowni, bilterem, tragarzem, scenografem, kierowcą itd. I gdzie każdy spektakl przygotowuje się na najwyższym poziomie artystycznym, lecz zawsze bierze się pod uwagę intelektualne możliwości widza. Po drugie: aktorzy, którzy przestali być „inżynierami dusz”, a zostali rzućni na głęboką wodę wolnego rynku, już zrozumieli, że to tabakiera jest do nosa, nie odwrotnie. Więc ich kajety wypełnione są terminami przedstawień w tzw. terenie. Jada chętnie ponieważ tam zarabiają w miarę przyzwoite pieniądze.

Po trzecie: okazuje się, że popyt na teatr w Polsce pozametropolialnej jest ogromny. Trudno byłoby osiem tysięcy ludzi nawet w ciągu roku wozić do teatrów Warszawy czy Krakowa. Zdecydowanie korzystniej i pewniej jest przywieźć tamte teatry do Nowego Sącza.

I na koniec sprawa, która zawsze musi budzić niepokój: a ile to kosztowało? Ok. 120 tys. zł. Z tego jedną trzecią pokryły wpływy z biletów. Resztę dołożyli sponsorzy nowosądeccy. Czy było warto? Wprawdzie nie odpowiada się na głupie pytania, ale zrobię wyjątek: to jeden z najmańszych festiwali, jakie w życiu widziałem. A widziałem ich kilkadziesiąt.

Henryk CYGANIK